

# Zdzisław Skwarczyński

---

## "Podróże napowietrzne" Juliana Ursyna Niemcewicza

---

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 21, 70-79

---

1965

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI

PODRÓŻE NAPONIETRZNE  
JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA

Śród ineditów J. Ursyna Niemcewicza spoczywających w zbiorach rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu, ostatnio zinwentaryzowanych baczniej niż kiedykolwiek pierwiej przez J. Odrowąż-Pięiążka, znajduje się pod nr 492 niewielki, dwudziestodwustronicowy początkowy fragment utworu, który przy obecnym stanie badań nad autorem *Powrotu posła* budzić musi zrozumiałe zainteresowanie.

Niemcewicz jako wojażer dla ogłady, kilkoma nawrotami emigrant polityczny i wygnaniec, który niemal trzecią część lat dojrzałych spędził poza krajem, poznał Niemcy, Włochy, Francję, Anglię, Rosję, był obywatelem Stanów Zjednoczonych i żywota dokonał jako współuczestnik Wielkiej Emigracji, dobrze nas oswoił ze słówkiem „podróże” w tytułach i treści swych rozlicznych prac. Są wśród nich i takie, które obok momentu przezwyćżenia przestrzeni zawierają i przezwyćżenie czasu, jak owe dotąd należycie nie ocenione *Podróże historyczne po Polsce*, co nawet przechodzi w sferę snu i fantastyki w *Roku 3333 czyli Śnie niesłychanym*. Ale podróże napowietrzne, bo taki tytuł nosi wspomniany na początku fragment?

Nie obawiajmy się przecie przesady. Nie tylko dlatego, że ludzkość miała już za sobą ryzykowne loty Pilâtre de Rozier (1783) oraz braci Montgolfier (1785) i Blancharda (1785). Rzecz jest dobrze osadzona skądinąd w złożach pisarstwa Niemcewicza, ma bowiem wspomnieniowy charakter. Nastrojem wszakże i rzucającymi się w oczy cechami techniki pisarskiej odbiega w wielu względach od ściśle rzeczowego tonu większości innych jego tego typu prac.

Jest tedy wspomnieniem, ale wspomnieniem, w którym nie brak miejsca na luźne skojarzenia. Osiemnastowieczna, dosyć oschła — mimo świadomie stosowanych urozmaicających ją zabiegów, rzeczowa i podporządkowana ściśle dyskursywnemu celowi, obiektywizująca proza Niemcewicza nabiera tu chwilami cie-

pła osobowości, a psychologia przenikliwości większej niż zazwyczaj przez wyjście poza szranki kartezjańskiej teorii afektów. Temperaturę tej prozy podnoszą częste eksklamacje, niedomówienia, odrobina rozwichrzenia stylistycznego i niekonsekwencji. Opisu przydaje plastyki nadany szczegół.

I tak też, chyba uwrażliwiony przez innej formacji artystycznej poetykę, w której drobiazg ten stał się znaczącym rekwizytem, wydobywszy je z mroków pamięci wspomina autor zaraz na wstępie o żorawiach ciągnących nad głową każdej wiosny, którym jako dziecko szczerze zazdrości lotu; w okresie przedromantycznym, kiedy Niemcewicz formował się jako pisarz, ptaki te — wiadomo — uchodziły za notorycznie głupie i pozbawione poetycznego waloru. Jakby dopiero tutaj i teraz pofolgował pisarz rozluźniającym oświeceniową dyscyplinę technieniem sentymentalizmu i romantyzmu z dawną doń docierającym, wskutek czego obok nowych zapożyczeń w rodzaju „świątyni marzeń” jest i rehabilitacja autentycznych doznań młodości.

Teraz — to znaczy kiedy?

Pisze Niemcewicz: „kiedy ostatni kres moich wędrówek dosyć już bliski”, i zdaje się to potwierdzać miejsce, jakie zajmuje omawiany utwór w emigracyjnej spuściźnie rękopiśmiennej autora. Czy można jednak zupełnie zaufać? Długowiecznemu pisarzowi zdarzały się już podobne stany i złudzenie bliskiego kresu na wiele lat przed zgonem. Tak na przykład przemawiając na odsłonięcie pomnika Kopernika w Warszawie, o czym informowała dokładnie „Gazeta Polska” z 12 maja 1830 r., m. in. powiedział: „Jakżem szczęśliwy, że przy samym schyłku życia mojego doczekałem tej chwili!” I dodał patetycznie: „*Nunc dimitte, Domine, servum tuum*”. Tymczasem, sędziwy niewątpliwie w 1830 r., bo urodzony 16 lutego 1758 r., pisarz zmarł — jak wiadomo — dopiero 21 maja 1841 r. Może to tylko stylizacja usprawiedliwiająca ton utworu odmiennego bądź co bądź charakterem od innych wspomnień? Odmiennego, bo przenikniętego pragnieniem wyznań czy zwierzeń osobistych na temat głównej pasji całego życia, pasji do podróży.

Dziś, kiedy los i przypadek pozwoliły mi żądzę moją aż do zbytku nasycić, [...] rzucę przynajmniej okiem na zbiegłe dni życia mego i odmaluje te dziwne zmiany, których namiętność człowiekowi wrodzona pod ręką czasu, uczuć i światła doznaje. Nie ruszając się z miejsca odbędę tym sposobem jeszcze jedną podróż i jeszcze raz żądzę mojej dogodzę.

W ślad za tym idzie pochwała *Robinsona Kruzoa*. Jedna to zapewne z pierwszych w naszej literaturze, jeśli tłumaczenie Albrandiego uznać za pierwszy hołd złożony tej powieści. T. Mi-

kulski, który nakreślił szkic dziejów *Robinsona* w Polsce (*W kręgu oświeconych*, Warszawa 1960, s. 380), powątpiewał, by dzieło Defoe'go (nawet w skróconej wersji pana Feutry, podstawie polskiego przekładu, realizującej jakby nakaz Rousseau z 1762 r. zawarty w *Emilu*) było czytane przez dzieci rokoka. Przypominając następne z tego wieku polskie jego edycje (1774 i 1775; zaznaczyć tu należy, że autorka ostatnio wydanej *Bibliografii powieści polskiej 1601—1800* Jadwiga Rudnicka zna tylko pierwszą z nich) wzmacniał wspomnianą sugestię dopowiadając: „Wiek XVIII, rozmiłowany w podróżach, szukający wzorów życia na wyspach szczęśliwych, nie zdołał rozstrzygnąć, dla kogo mianowicie jest ta książka”. Widocznie czasu wyteżonych kwerend paryskich spuścizna Niemcewicz nie zajęła uwagi Mikulskiego.

Wracając przecie do pochwały *Robinsona* w naszym rękopisie warto dodać, że w niemal sto lat później wyrazi ją u schyłku życia mający po temu nie mniej powodów Sieroszewski. Niemcewicz pisze:

W krainach, gdzie ludzie nie tylko jedzą, piją, orzą, młóca, ale też i czytają, w krajach, gdzie nie tylko dziedzic i arendarz, ale i chłop prosty czyta, w szczęśliwych tych krajach — mówię, *Robinson* gra wielką rolę. Podarunkiem na Nowy Rok, na imieniny lub urodziny, nagrodą za dobre uczenie i sprawowanie się, słowem dowodem największej łaski rodzicielskiej dla dzieci bywa egzemplarz *Robinsona*. Jakoż nie podobna wyrazić, jak prosto ta droga książka do serca i przekonania ich trafia.

Rzucona z przekazem uwaga o czytelnictwie we własnym kraju nie całkiem była sprawiedliwa, jako że i autora w dzieciństwie książka Defoe'go nie ominęła. Kiedy to się stać mogło? Mało prawdopodobne, by zetknął się Niemcewicz z tą książką w ojcowskiej bibliotece, nie tylko dlatego, że zawartością ustępowała nawet bibliotece Pana Podstolego z powieści Krasickiego, i że nie uzupełniano jej nowościami. Przekład *Robinsona* pióra Jana Chrzyciela Albertrandiego ukazał się u Groella w 1769 r. Wspomina wprawdzie Niemcewicz o lekturze „w dziesiątym roku” życia, ale mylił się chyba nieco, jak wtedy, gdy przypisywał sobie lat dziesięć opowiadając w Londynie 1832 r. Józefowi Bonaparte o swym zainteresowaniu Korsyką i przerysowaniu jej z mapy ściennej pod wpływem wieści z gazet o powstaniu na wyspie i generale Paoli (1769—1774). Jedno i drugie odnieść wypada do okresu pobytu w Warszawie, do której przybył w 1770 r. mając lat dwanaście, by zostać, początkowo nadkompletowym, elewem Szkoły Rycerskiej. Wzmianki rozsiane w omawianym fragmencie wskazują, że lektura *Robinsona* przypadła na czas poprzedzają-

cy regularny pobyt w Korpusie, ale nie dają pewności, że już w roli nadkompletowego elewa. W Szkole Rycerskiej bodaj nie było nauczyciela nazwiskiem Marx; jeśli nawet drugiego ze wzmiankowanych, imieniem Fryc, zidentyfikujemy z Janem Fryderykiem Braunem w latach 1769—1794 uczącym pisać po niemiecku, rzecz nie będzie pewniejsza. Marxa nie wspomina wśród nauczycieli Szkoły Rycerskiej ani Niemcewicz, ani K. Mrozowska — monografistka uczelni. Niepewność co do „najzłośliwszego z nauczycieli” wraz ze wzmianką o „kolegium”, mimo warszawskiej scenerii opisywanych wydarzeń, podważają w pełni wspomnieniowy charakter fragmentu, przesuwają może nawet sprawę na płaszczyznę fikcji literackiej nie pozbawionej przeto oparcia w rzeczywistości, ale nie odbiera to autentyczności wspomnianej pochwały książki Defoea.

Krzywdziłbym się rozmyślnie, gdybym powiedział o sobie, że ją lubiłem [...] wielbiłem, ubostwiałem, rozplywałem się nad każdą kartką. Zatopiony w słodkim czytaniu zdawałem się koniecznie, że to ja na pustej wyspie panuję, budy sobie stawiam i samowładnie kartofle piekę, a gdy się drogi mój klejnot skończył, płakałem gorzko i nie mogłem sobie darować, że mię szczęśliwy ten Robinson w tak pięknym zawodzie uprzedził.

Sarmacki wyrostek wyrwany z poleskiej głuszy dzielił — jak widać — estetyczne złudzenia małych i dużych robinsonad, jakim poddawało się wiele wytrawniejszych umysłów, ani przeczuwając, że ulega potężnej indoktrynacji kapitalizmu. Co gorsza, nie uświadamia sobie tego autor i u kresu życia obfitującego w doświadczenia historyczne. Raczej zastanawia go zdanie, że Robinson nie wszystkie dzieci zarówno zachwyca.

Ledwie temu wierzyć mogę ... Uwierzę przecież! Wszakże są istoty na ziemi, co nierównie mniej czują, mniej myślą, mniej żyją od drzewa, a nawet grzyba w lesie.

I jakby nie dość było egzaltowanej, symptomatycznej obrony uczucia, myśli, życia — dodaje:

Mając więc wszystkie zmysły i członki, można się jednak poczwara urodzić, bo można przyjść na świat bez serca, bez imaginacji, a czasem i bez rozumu.

Niewiele zdaje się brakować, by nieoczekiwanie *Robinson* awansował do rangi „książek zbójceckich”, jeśli namiętność do podróży od miłosnej nie gorsza.

Czyżby upodobanie dzieci w lekturze *Robinsona* dowodziło, że chęć podróży jest wrodzona człowiekowi, że człowiek rodzi się

z tą namiętnością, tak jak się rodzi z talentem do malarstwa i poezji — zadaje pytanie autor nadając w ten sposób owej pasji, a i sobie zarazem, znamię niepowszedniości wbrew pierwotnej intencji. Próbując zaś odpowiedzi kieruje myśl na tory motywów sentymentalnych.

Zagadka ta sięga nierównie głębszych tajemnic natury i serca ludzkiego niżeli się komu zdaje, lecz tym trudniejszą jest do odgadnienia, że chcąc ją dokładnie rozwiązać, trzeba by rzec się na moment całego towarzyskiego poloru, trzeba by wskrzesić pierwsze swe wyobrażenie i uczucia, trzeba by sobie najżywiej dążyć i chęci pierwszych lat swoich przypomnieć, słowem trzeba by na powrót dzieckiem zostać.

Tu właśnie nasuwają się pisarzowi najżywsze apostrofy do dzieciństwa: „wieku szczęśliwy, wieku wolności, pokoju i najwdzięczniejszej obłudy”. Nad klasycystycznym upostaciowaniem czasu nieubłaganego, co żelazną ręką zrywa najpiękniejsze kwiaty młodości, wysusza źródła najtkliwszych uczuć, przytępia zmysły, rozprasza najślodsze złudzenia i ledwie tylko mętną ich pamięć zostawia — dominuje sentymentalne porównanie do podróżnego wycieńczonego dziwnymi zdarzeniami po obcych krajach, który znalazłszy się wreszcie w cichym kącie swej chaty zaledwie sam sobie wierzy, że się tam kiedyś znajdował

[...] tak i ja z trudem tylko powrócę do rozkosznych tych marzeń, w których tak namiętnie kochało się moje dzieciństwo. Wskrzeszę jednak letkie ich widmo!

— deklaruje autor usiłujący przedrzeć się przez meandry stylu sentymentalnego do źródeł niefałszowanego nastroju dzieciństwa, do źródeł autentycznego uczucia, które pozwoliło by jednolicie zorganizować artystycznie całość. Zawdzięczamy temu jedną z najprzyjemniejszych kart fragmentu o realistycznym zakroju:

[...] z tablicą rachunkową, kałamarzem na sznurku, całą szklaną narzędzą, a szczególnie z *Robinsonem* w rękę, wychodziłem z domu dobrymi dwiema godzinami przed zaczęciem się klasy i biegłem co żywo na taras zamku warszawskiego. Wałące się domy po obydwoch połączonych ulicy nie byłyby rozerwały mych myśli, a tym mniej jeszcze w biegu wstrzymały. Stanąwszy na tarasie pożerałem oczyma ścieżkę prowadzącą do głębokiej jego fosy. Ta ścieżka przepaścista raczej aniżeli spadzista zdawała mi się jeszcze zbyt długą, abym ją przebiegł po ludzku. Siadłszy więc na jej skraju, bez najmniejszego miłosierdzia dla pewnej części mych sukien, zjeżdżałem w okamgnieniu do fosy. Głęboka murawa pokrywająca jej boki, topole na dnie rosnące, cisza panująca w odludnym tym kącie, wysoka oficyna zamkowa, oddzielająca go od reszty świata zamieniły ją były dla mnie w prawdziwą świątynię marzeń. Tam to czekał mię już zazwyczaj Henryk, mój przyjaciel od serca, i zazwyczaj żwawo wyłajał, że tak późno przybywam. Scho-

wawszy się wtenczas w jakiej kępie gęstej trawy rozkładaliśmy *Robinsona* i robinso[no]wali do woli.

Czasem, jak po dość długim i na siłę naiwnym opisie imaginacyjnych przygód w sercu Afryki i na nieznanach wyspach pod przewodem różnych lektur podróźniczych, skrzyżowanie punktów widzenia da niezgorszy efekt:

Przebiegaliśmy mil tysiące spacerem, bo ogniste afrykańskie słońce nie mogło nam żadnym sposobem za oficyną zamkową dokuczyć, bo zamiast rozjuszonych lwów Sahary i zjadłych węzów Kafirorii spotykaliśmy przełekte szczury, które tam kot kanonika zapędził, a bestią najstraszniejszą, co i nas samych czasem do odwrotu zmuszała, był sierżant pruski w dymniku oficyny obozujący.

Jeden z następnych akapitów zaczyna się: „Pomnę jak dzisiaj”, ale istota jego leży w dopowiedzeniu, „że nigdy nie zwracaliśmy podróży naszych do Niemiec, do Francji”, bo to kraje „zapowietrzone”, „gdzie prawa, miasta, rządy i bagnety ujarzmiły, przestoczyły i skaziły ród ludzki”. Dlatego bez większego zainteresowania śledzimy ciąg dalszy o młodocianych duszach, które „wydzierały się chciwie na brzegi rzeki Amazonek, do Peru, do Chili i na wyspy oceanu Spokojnego, słowem do stref tych szczęśliwych, gdzie człowiek zostawiony sam sobie żyje w pierwotnej swojej i nieograniczonej wolności”, bo trąci to komunalem właściwym epoce. I to również, że jest to wolność od troski o dzień jutrzejszy, od brzemienia pracy, jako że pierwsza knieja dzikiego nakarmi, pierwsza rzeka napoi, a pierwszy zwierz przyodzieje swą skórą. Zastanawiające jest dopiero u człowieka całe życie wprzęgniętego w służbę swemu społeczeństwu i nieustannie określającemu się wobec świata oznaczenie wolności: od ojczyzny, bo dla dzikiego jest nią kraina, w której aktualnie mieszka, od myśli o śmierci, bo ta zaskakuje go w mniemaniu o niezniszczalności równej naturze, od pytań wreszcie o początek, sens i cel swej egzystencji.

Czy to tylko afektacja, w jaką się wprawił, podsunęła mu idealizację niemal bezrefleksyjnego istnienia? Czy raczej próba rozwiązania pytań nie dających mu spokoju, jak zdaje się o tym świadczyć wiersz zanotowany w Londynie „w nocy z 12 na 13 stycznia 1832 r.”:

Czymże jest życie nasze na świecie poziomym,  
Po cóż pytać? Ach, wiemy, snem tylko znikomym.  
Temu się śni dostojność i obszerne mienie,  
Owemu rany, nędza i ciemne więzienie.  
Jest taki, co mu złota marzy się korona,  
Największej liczbie kosa, sierzp, lemiesz i brona.

Każdy z nas śpi niewiele, ten krócej, ów dłużej,  
 A gdy sen swój dopeśni i oczy zamruży,  
 Wszystko się kończy: trwogi, nadzieja daleka,  
 Co gorzej nikt z nas nie wie, co go później czeka.

Gorzej jeszcze, by kto z nas zmęczon tu kłopotem,  
 Cierpiąc tu piekło, piekło cierpiął i na potem.

Na tym tle wiarygodności nabiera nawet stylistyczna struktura poniższego fragmentu:

[...] Wchodzi mi raptem promień żywego światła ... Tak jest, rozumieć teraz dzieci ... Stan terazniejszy społeczeństwa ludzkiego, nie jest naturalnym śladem człowieka ... Cały polor, cała mądrość, przemyśl, towarzyskość nasza, z której się tak bardzo chełpiemy, jest dziełem sztuki, lecz nie przyrodzenia! ... Przyrodzenie nie zakryło człowieka tak wykwintnego zawodu, a jakkolwiek miłość jego własna cierpieć na tym będzie, zostanie to jednak niezbitą prawdą, że natura tworząc istotę jego nie bardzo go rozróżniła od zwierząt, a przynajmniej nie obszerniejsze wytknęła mu pole. Ani tu badać myślę, czy to przypadek, czy dążność wewnętrzna, czyli — jak twierdzą najnowsi mędrcy — prawdziwa jego natura wyniosła go daleko nad pierwotne zakresy, ale przy tym mocno obstanę, że stan dziki jest pierwszym, przyrodzonym i najprawdziwszym stanem człowieka. Otóż owa tęsznota do stanu dzikiego, odzywa się czasem mętnie w piersiach dorosłego człowieka, lecz polor, lecz wychowanie i światło przekształciły do tego stopnia naturę jego, że już głosu jej nie rozumie ... Jak dźwięk lubego instrumentu, który wieczorne echo z za gór dalekich przynosi, tak i luba ta żądza ozwie się czasem w sercu jego i nie poznana umiera ... Dziecię tylko rozumie, pojmuje ją żywo i rzuca się skwapliwie w ręce ukochanej matki natury.

Wiarygodny — powtarzam — wydaje się ów fragment, choć w osobliwy sposób splata się w nim rudymenatny materializm Oświecenia, posunięty jednak aż do kapitulacji wobec natury, z pogłosami koncepcji Rousseau, swego czasu ze społecznych intencji wywiedzionych, oraz idealizacja dzikości, podszytej indywidualizmem, autora *Atali*, *Renégo* i *Le voyage en Amérique*, której lekturę w dalszym ciągu potwierdza omawiany fragment. Porękę wspomnianej wiarygodności stanowi wyczuwalny wewnętrzny nurt tej na sposób niemal nowoczesny niekiedy esseistycznej prózy, nurt uparcie dążący do uzyskania odpowiedzi na najważniejsze pytania absorbujące osobowość.

Trzy dość szeroko rozwiedzione przykłady dowodzące, „ile stan dziki ma dla człowieka powabu” niczym nie dającego się osłabić, zawdzięczają swe pochodzenie lekturom (w tym wspomnianego Chateaubrianda) i nie przejawiają większej siły ekspresywnej. Próbuje ją odzyskać autor w rozdziale następnym, zatytułowanym: *Próżność próżności i wszystko próżność!* Otwiera go apo-



strofa do Henryka, zmarłego towarzysza dzieciństwa, układając wspomnienia w motyw, którego świetniejszym ujęciem jest *Godzina myśli* Słowackiego. Skierowane do druha podróży imagi-nacyjnych pytania retoryczne:

Czyliżby duch twój stęskniony kwapił się już tu na ziemi do sied-lisk nierównie szczęśliwszych? Było to więc mętne przecucie, którym cię nieustannie dręczyła natura?

— wiążą ten rozdział z poprzednim i naczelnemu, sentymental-nemu motywowi życia jako podróży nadają niejasno określoną, ale sugestywną sankcję symboliczno-metafizyczną.

Wstrząs wywołany śmiercią przyjaciela wyzwala lęki przed nieznanym i przed podróżą najdalszą. Powoduje powściągnięcie wobec lektury książek rozbudzającej wyobraźnię i uczucia. Powiedziałem, że autor nie nazwał ich „zbójeckimi”, przeciwnie: określa je sentymentalnie jako „lube”, ale odkłada i żegna na zawsze, bo w ich świecie nie mógłby żyć bez przyjaciela, formułą w stylu epoki określając nagłe poczucie osamotnienia.

Ekskursja w dziedzinę rozważań — jak się wtedy powiadało — moralnych, której następnie dokonuje autor, zdaje się nie wróżyć szczególnych efektów, zwłaszcza psychologicznych. Dostyc ja-łowo brzmią medytacje konfrontujące zdobyte doświadczeniem przekonanie dojrzałego męża o próżności pasji pędzącej nas w da-lekie strefy, gdy samotność naszym udziałem, z żywiołowością dziecka oddającego się tej namiętności, poddającego się „ulotnym poruszeniom duszy”. Po zdaniu, które zdaje się zapowiadać wy-znanie, jeśli nie rewelację psychologiczną w guście romantyków przeświadczonej o wyjątkowych walorach własnych osobowości, podkreślonym zresztą przez pisarza:

Jeśli dziecko wychodzi z liczby zwyczajnego przychowku, jeżeli wyższe zwiastuje usposobienie

— następuje mielizna wielosłownych uogólnień moralistyki prze-łomu wieków XVIII i XIX z oklepanym wiązaniem w łańcuch skutkowo-przyczynowy na temat ciekawości:

Ciekawość jest tymże samym w towarzyskim zawodzie, czym wia-try i żagle na morzu. Ona to jest matką przemysłu, źródłem pracowitości, pracowitość — znaczenia, wszystkie te rzeczy znowu rodzą praw-dziwą oświatę, oświata rozpościera wpływ swój na całą ziemię i cały ród ludzki, słowem łańcuch ten nie ma końca, ale pierwszym jego ogni-wem jest ciekawość.

Ze znanego repertuaru pochodzi również marginesowa uwaga nadająca się do modnych na przełomie wieków synonimów i dow-cipem przypominająca *Niektóre wyrazy* F. S. Jezierskiego:

Nie sędzę, aby kto myślał, że tu mowa o rzadkiej tej cnocie, która gorąco dzień i noc śledzi, co ksiądz przeor powiedział, dokąd pani Bartłomiejowa pojechała etc. etc. Ojcem tego rodzaju ciekawości jest głupstwo, matką nikkzemność, a konsolacją plotki.

Nie odbiega tonem od wspomnianej moralistyki, choć niezbyt dbała o konsekwencję w stosunku do osiągniętego punktu widzenia zaznaczonego tytułem rozdziału, zachęta, by młodzieniec odrywał się nawet od najdroższych przedmiotów w świat daleki, bo zaspokoiwszy tam tylko swą pasję wróci skwapliwie do siedzib ojczystych „zamożny w światło, mocny doświadczeniem, wolny od przesądów i wskroś znający osobliwe to zwierzę, które człowiekiem zwiemy”.

Nie zaskakuje nas zbyt, chyba tylko dozą przekraczającą zwykłą miarę, mizantropia autora przestrzegająca wracającego ze świata przed mieszaniem się w sprawy innych, przed niepodobieństwem przekształcania ich, bowiem:

[...] ród ludzki jest jeszcze po większej części tymże samym, czym był przed zjawieniem się Prometeusza, to jest, że mając uszy nie jednak nie słyszy, mając oczy nic nie widzi.

Parabola o sposobie, w jaki łowcy amerykańscy łapią małpy wykorzystując ich popęd naśladowczy, parabola uzasadniająca i wobec ludzi raczej taktykę oddziaływania przykładem niż radą i napomnieniem, zdaje się świadczyć, że myśl autora krążyła około mitu o Prometeuszu, ale zrównoważona mitem o Epimeteuszu nieromantyczne skłonna była snuć z niego wnioski i zalecenia.

Całkiem nieoczekiwanie po rozważaniach, w których z trudem przebijała osobowość przez nawyki myśli i stylu epoki, dochodzi do wynurzenia, które działa jak dosyć wymyślnie zastosowana pointa. Rzecz zaś nie w tym, że — jak pisze — czy to na chwałę, czy też na hańbę wyznać musi, że jego chuć podróży wraz z Henrykiem umarła lub usnęła i odtąd nieporównana ciekawość ani go za domowy próg nawet wypędzić nie mogła, ale na znacznie prawdziwszym psychologicznie uprzytomnieniu:

[...] Anim się spostrzegł, kiedy kilka miesięcy minęło, jak u grobu Henryka nie byłem i wkrótce Henryk umarł i w moim wspomnieniu.

Przebłysk prawdy psychologicznej w zdaniu tym zawarty gwarantuje niejako szczerłość poniższych słów pożegnania skierowanych do zmarłego przyjaciela, acz niewątpliwie nacechowanych manierą sentymentalną:

Bywaj więc zdrów! ... może po raz ostatni, lecz nie żał się na mą niepamięć! Wszakże od zgonu twego nie znalazłem już wdzięku przy-

jaźni. Zwiedziłem wiele krajów, poznałem mnóstwo ludzi, spotkałem mnóstwo przyjaciół. Sam powiedz, czy miałem aby jednego? Łabędź, jak mówią, raz tylko śpiewa i serce raz tylko kocha. Moje zostając martwym, składa ci najpiękniejszą ofiarę.

Ostatni, wszczęty ledwie rozdział, przerzuca nas w krańcowo odmienny, pomyślany chyba kontrapunktowo nastrój. Powoduje go nadająca tytuł rozdziałowi żartobliwa apostrofa do „oślej czapki”, „postrachu żaków, wawrzynu głupstwa, zachęty pracowitości, godnej tylekroć uwieńczać raczej skronie mistrza aniżeli ucznia”. Wzywał jej autor ironicznie w imię ścisłego związku, jaki miała z przedmiotem. Mieliśmy się dowiedzieć, jakie losy, jakie wypadki natchnęły go znowu szaleńcem podróży.

Nie wiemy, z jakich przyczyn poniechał autor pisania dalszego ciągu. Nie wydaje się wszakże, żeby dlatego, że nie brzmiał mu stworzony fragment dostatecznie czysto. Niejaki synkretyzm stylowy i myślowy był zawsze właściwy pisarstwu Niemcewicza, jeśli i omówiony odpis, jak wiele zdaje się wskazywać, jest jego pióra, nie miałyby po temu powodów. Tak czy owak pozostał dokument literacki prezentujący jedno z najwcześniejszych w naszej prozie dążeń do wypowiedzenia się w formie otwartej, zintelektualizowanej, przewycięzającej na swój sposób i miarę niektóre zastoiny myślowe i stylowe swego czasu. I ta skłonność do eksperymentowania literackiego była stałą właściwością pisarstwa Niemcewicza.